

Człowiek niewiedzący na czym polega życie wśród innych, pewny siebie i swoich zapatrywań, przekonany o słuszności wypowiedzianych sądów, pragnie zmieniać, osądzać, ulepszać świat, nie dając mu w zamian nic. Celesta odwrotnie: intuicyjny Sokrates, z pokorą i na każdym kroku stwierdza, że wie, jak mało wie; gdyby ludzie tacy jak Proust mieli swoje Celesty, ilu nieporozumień można by było uniknąć i jak wielu oszczerców straciłoby fach (szkoda, że nie zabrała głosu wcześniej)!

Kiedy weszła do jego życia “na trochę”, wydawało się jej rzeczą naturalną, że zostanie w nim na dłużej. Tak jak rzeczą najzupełniej oczywistą było dla niej to, że Marcel żyje niezgodnie z ogólnie przyjętymi zwyczajami: zasypia, gdy inni wstają, wstaje, gdy pozostali kładą się na spoczynek.

Pochodziła ze wsi. Miała 21 lat, gdy zostaje przy Marcelu; dopiero zaczyna rozglądać się po życiu. Jest mężatką; jej mąż także pracuje u Prousta: jako osobisty kierowca. Jej dotychczasowe, uregulowane życie, ulega zaburzeniu. Bez wielkiego żalu, spontanicznie i niezauważalnie dla siebie – rezygnuje ze starych nawyków do wczesnego wstawania, z niedzielnych wypraw do kościoła; dziwna fascynacja osobowością pisarza wywiera wpływ na nią tak ogromny, że nie odczuwa tęsknoty za poprzednią egzystencją.

Dziwna? Zastanawiam się, czy gdyby nie szczęśliwy traf, przypadek nazywający się Celesté Albaret, znalazłby drugą taką oddaną duszę, drugie tak wierne serce, kobietę zachłanną na życie przy nim, zastępującą mu matkę i będącą dla niego córką jednocześnie? Była to miłość, jaką przeżyć chciałby każdy; powiedzieć o niej “prawdziwa”, to nie rzec o niej niczego.

*

Wyobrażam sobie jego ostatnią noc. Pracował do końca; bez przerwy poprawiał, uzupełniał. W kącie łóżka on, po przeciwnej stronie pokoju Celesta, nagle podobna do Franciszki z powieści i do Felicji z czasu Mamy, naraz przypominająca kumoszkę Verudin, niekiedy Jupiena i Saint – Loupa jednocześnie. A mroczna cisza za paryskim oknem była tak wysycona wspomnieniami, że gdy na chwilę odrywa wzrok od zapisanych kartek, na szybie pojawia się Balbec, Combray, Wenecja i młoda hrabina de Greffulhe w sukni z głogów.

Był już wycieńczony. Siedziała w pogotowiu, by, gdyby czegoś chciał, mogła mu podać. Lecz on już nie chciał niczego. I być może w ten swój odzyskany czas napisał:... "następuje rodzaj przesycenia sprawami, o których myślimy za wiele. Kto wie, czy okres, kiedy widziałem w nim aż tyle tajemnic, nie był prawdziwy. Ale, że nie są to okresy wiecznotrwale, nie należy poświęcać zdrowia czy majątku na wyświetlenie tajemnic, które pewnego dnia przestaną nas interesować."

Bo choć wrażenia istot, ich imion i nazw, są nie oddzielone od siebie, lecz związane z nadanymi im kształtami, bo jakkolwiek bywają sprzężone ze swoimi ocenami, to przecież stanowią ledwie cząstkę tych, które zostały opisane. Gdyż, zmieniając perspektywę i poznając historię opowiedzianą nie przez subiektywny pryzmat osobowości Marcela Prousta, tylko uwiarygodnioną przez charakter księcia Błażeja de Guermantes, powstałby obraz odmienny od znanego z powieści, zaś w miejscu Jego imion i Jego zdarzeń, pojawiłyby się nowe.

Nazewnictwo, niezmiennie od lat, razem z przybywaniem nowych objaśnień i podążających w ślad za nim hipotez, traci monumentalną pozycję i jest kwestionowane. Okazuje się podważalne, a jego rzekoma nieodwracalność oznacza, że nie ma rzeczy wiadomych na stałe; u Prousta „zawsze” nie istnieje.

*

Za młodu bywa na salonach, bo chce zbierać spostrzeżenia u źródeł: samodzielnie widzieć i wiedzieć. Ze względu na niepospolitą inteligencję, takt, dyskrecję, poprawną oględność ugodowych zapatrywań, jest do nich zapraszany, mile widziany, oczekiwany nawet. Mówi na tematy neutralne, przelotnie fascynujące, chwilowo ciekawe, aktualnie modne, odporne na przeciwnie sądy i znośne ze smakiem; ma wrodzony węż do bezkolizyjnego bycia w zgodzie z pozostałymi uczestnikami przyjęć.

Natomiast własne, nieobiegowe przekonania, zostawia na później, odkłada do „książki”. W niej umieszcza osobiste, często kontrowersyjne zdania, opinie, ośmieszające i nie do przełknięcia w napuszonym gronie miłych gospodarzy salonów. W nią pakuje wszystkie te dreyfusowskie treści, jakich wypowiedzenia broniła mu etykieta.

Zostawia je na później i “później” nadchodzi bez odwołania: cherubinkowaty lowelas, bawidamek, ulubieniec płci obojga, zrzuca poprzednią skórę, zamyka się we wspomnieniach, krzepnie, pograża w bezustannie żywej pamięci; przeszłe książętko i wczorajszy paż, przeistacza się w myślący sarkofag z kompleksem winy.

*

Budowanie wymaga surowca. Zbiera, gromadzi, przetwarza znane rysy, gesty, ich różnorodność wydźwięku i z kilku nieraz odległych postaci, powstaje – jedna, pasująca do wznoszonych murów „katedry”: powieściowa mentalność zdolna do samodzielnego istnienia, będąca bardziej prawdziwą niż oryginał. Ludzie na nią złożeni, przetrwają dłużej i wyraziściej, niżeli ich pierwowzory; z biegiem lat rzeczywistość staje się Historią, a fikcja – konkretem.

Efekt jest olbrzymi: w powieści *W poszukiwaniu straconego czasu* dzieją się stylistyczne cuda. Pod giętym piórem pisarza, zwykle zjawiska przemieniają się w niezwykle ujednolicenie: formy z treścią, słów z intencjami, tomów z rozdziałami. Z których każdy tom, rozdział, czy akapit, odsłaniają coraz to nowsze i bardziej nieznane ingrediencje człowieczej motywacji.

Osaczają go pamięć i jej procesy. Twierdzi, że czas, który mu podarowano, jest limitowany trwałością organizmu. Jest uzależniony od sił witalnych, temperamentu, nastawienia do świata, od pozytywnego lub negatywnego stosunku do życia, czy psychofizycznej aktywności. Mówi: "nawet z punktu widzenia prostego realizmu upragnione przez nas krainy zajmują w każdej chwili w naszym prawdziwym życiu o wiele więcej miejsca niż kraj, gdzie znajdujemy się istotnie".

Wspomnienia są dla Marcela dostępną nieskończonością, przędzą zdarzeń, strunami pamięci: to umykające życie. Proustowska przeszłość jest smutna, bo nie daje się cofnąć, przefarbować, wykreślić; nie można jej złagodzić, rozcieńczyć, żyć od nowa.

Racje, powody, motywy istnienia jego bohaterów, rozpalają i przytłumiają płomienie ich uczuć; przywary są zaletami, a zalety nabierają cech manier, skłonności, feblików. Jak dzieje się to w przypadku Swana, którego miłość do Odety przeradza się od zazdrosnego nałogu jej pożądania, w – przyzwyczajenie i obojętność. Jest to jednak wybór podyktowany świadomością nadciągającej starości: "można obserwować ten stan z końcem zbyt przewlekającej się egzystencji, nawet między dawnymi i najczulszymi kochankami, między przyjaciółmi związanymi najbardziej duchową więzią; począwszy od pewnego roku przestają podejmować trud widywania się, przestają do siebie pisywać i wiedzą, że już nie spotkają się na tym świecie" („Czas odnaleziony”).

*

Czas, to nieprzerwana promenada zdarzeń, kompozycja z chwil podlegających nastrojom. Krótka przerwa między wejściem do salonu Guermantów, a oczekiwaniem w bibliotece obok, wypełniona jest medytacją

o już minionych zdarzeniach. O zdarzeniach już nie mających uzasadnienia w teraźniejszości.

Lecz jest to chwila gęsta od reminiscencji: rozciągnięta w przeszło stustronicowy fragment ostatniego rozdziału powieści. W jej końcowy akord. Jest jej heroiczną, generalną próbą uchwycenia, opisanie i intelektualnego przeniknięcia w powstały po niej, pamięciowy pogłos.

Czas powoduje nie tylko zewnętrzną, ale i duchową erozję; dostosowuje zmiany mimiki do ewolucji charakteru, a skazy występujące sporadycznie, przemienione w nagminne, stają się „zaletami”.

Demonstracyjne lata towarzyskiego ostracyzmu zacierają się razem ze zmętnieniem świadomości bohaterów „katedry” i ten, co za młodu uważany był za szelmę, pod koniec swojego życia zyskuje miano nieszkodliwego piernika. Ludzie, ich uwiędła obecność, zaczynają ożywać wtedy; oświeceni i wydobyli z zakamarków proustowskiego świata, istnieją w nim nadal.

Baron de Charlus, dumny, chępliwy, majestatyczny, hardy, szampański, czterdziestoletni arystokrata ducha z tomu „W cieniu zakwitających dziewcząt”, na koncercie u księżnej de Guermantes jest już tylko stetryczalym pederastą, który, wielkim nakładem zwiotczonych sił, ledwie trzyma się na nogach i z trudem sepleni trzy po trzy [nie wszystkim i nie w każdym gremium pozwalał zbliżyć się do siebie.

Jedną z pogardzanych przez niego postaci była pani de Sainte – Euverte, osoba niegodna jego sympatii. Lecz gdy z początku powieści może demonstrować swoje towarzyskie fochy i dokonuje dzielenia znajomych na wartych ukłonu lub godnych zrzucenia ze schodów, to podczas ostatnich jej akordów, składa owej pani zaskakująco serdeczne i bardzo nieoczekiwane pozdrowienia. Jednak nie są to czołobitności adresowane do niej; są to raczej hołdy skierowane do zamglonych i niewyraźnych wspomnień tego siebie, kim był niegdyś: rzutkim magnatem i wyrafinowanym estetą, królewiatkiem, dandysem i znawcą epoki, a nie sparaliżowanym dziadym z muzeum kwękających osobliwości].

Czas nieustannie igra z szalami wag; poglądy już raz ustalone, pod wpływem nowych zdarzeń mają nieraz odmienny kształt i są usprawiedliwione przez Prousta. Zmienność widzenia ludzi w zależności od ich postaw i preferencji cenzurowanych modą, szacowana jest przez czas: albo byli potępieni za swoje upodobania, odsuwani od tak zwanego towarzystwa, traktowani wrogo, albo traktowani z szacunkiem przynależnym wiekowi, urodzeniu, czy przymiotom znanym wtajemniczonym, a ukrytym przed postronnymi.

Odległość między przeszłością człowieka, a stanem z jego teraźniejszości, czas pomnożony o miejsca, imiona zdarzeń, o ich sentymentalną atmosferę, jest niewyczerpanym źródłem, impulsem, prowokacją jego nieruchomych podróży.

Czas były i wyobrazeniowy, hipotetyczny i oczekiwany, łączy się z przestrzenią czasu teraźniejszego; ofiarowuje bezmiar nieokreślonej czasoprzestrzeni. Twór odrębny i dotąd nie spenetrowany, ekscytujący i kuszący po kres.

Czas dla Prousta jest „możliwością” wyobraźni. Ile jej, tyle życia. Jeżeli mała, wąska, ograniczona sztukaterią nakazów i zakazów – żyje się krótko, przemijająco. Jeżeli bogata, wielokierunkowa i wielopłaszczyznowa – czas ulega poszerzeniu o nowe, często tkwiące w psychice miejsca, imiona i zjawiska.

Jeżeli świat i jego niejednorodność wzmagają w nim zaciekawienie i poznawcze apetyty, czas życia stanie się wypełniony. Jeżeli dominuje w nim pesymizm, ofiarowany czas będzie jałowy i bezproduktywny.

*

Inflacja znaczenia czegokolwiek, przebiega w „transformowanym” rytmie ludzkiego czasu; razem z jego zmiennością.

Pod naciskiem społecznych przemian i nowych spojrzeń na nie, poprzednie obyczaje zostają zmyte z powierzchni wyznawanych norm, a ich miejsce zajmują – niezużyte jeszcze.

Tak samo "los", który nie jest sprawą indywidualną; podlega pamięciowej wibracji. Jednostka nie decyduje tylko o sobie, nie ma też wpływu na kierunek swojej drogi. Jej drogę wyznacza przypadek, uwarunkowanie. Píše: rozmaite przypadki stykające nas z pewnymi osobami nie schodzą się z czasem, w którym je kochamy, ale, wyprzedzając nasze uczucia, mogą się dziać, zanim ów czas się rozpocznie, i powtarzać się, kiedy się skończył. (*W stronę Swana* PIW 1979 str. 357). Zjawisko to również jest dla niego "interferencją pamięci"

(*Strona Guermantes* PIW 1979 str. 313).

Gdyż uwarunkowanie, to psychologia naczyń połączonych, topografia wraźniowych fal, fal nakładających się i znoszących się wzajemnie. Fal przekształconych w indywidualny, psychiczny obraz. To historia przemacerowana polityką, rodową genealogią, „łózkowymi kwadratami uczucia”... To nowy stan, którego nie można przewidzieć w dawnym. (*Czas Odnaleziony* PIW 1979 r.). To dla Swana – Odeta; obojętnie jak postąpi z miłością do niej, Odeta nie pokocha go. Również Gilberta; im bardziej narrator będzie starał się ją poznać i jakich by nie miał się sposobów, by ją do siebie przywiązać, zawsze będzie w nim tkwiła drzazga niepewności; imaginacyjne podejrzenie zrodzone przez niezauważalny fakt.

Podobnie z Albertyną. Uwarunkowanie sprawia, że Odeta z kochanki Swana przepoczwarza się w czcigodną matronę de Forcheville, a jej córka, Gilberta, miłość narratora powieści, też Marcela, bryluje w świecie, który jej matce wzbraniał przystępu.

Poznajemy młodych, by dostrzec ich starość. Widzimy ich w starości, by zobaczyć, kim byli wprzód. Salon księżnej de Guermantes, początkowo nieosiągalny dla narratora, tak samo jak i narrator, zestarzał się i utracił poprzedni prestiż, stając się salonem zgrzybiałych szczęśliwców, po którym oprowadza nas Proust – konserwator pamięci: "rozkręcone albo połamane sprężyny mechanizmu odpychającego przestały funkcjonować, przedostawały się tu tysiące ciał obcych, odbierając temu środowisku wszelką homogeniczność, charakter, barwę. Faubourg Saint – Germain, niby stara zramolała matrona, odpowiadało już tylko lęklivymi uśmiechami bezczelnym lokajom, którzy pchali się na salony, pili oranżadę i przedstawiali swoje metresy".

(*Czas Odnaleziony* PIW 1979 str. 928).

*

W epoce fizycznej aktywności Marcela, modne były kontakty arystokracji ze środowiskiem artystycznym. Do dobrego tonu należało bywanie w ich otoczeniu. I dobrze widziane były kontakty z ludźmi uzurpującymi sobie prawo do uchodzenia za wysublimowanych arystokratów, ponieważ dla uczestników takich ugrupowań, liczyły się tylko szyldy: w rzeczywistości ani jeden z nich nie należał do żadnej z tych grup.

Spotkania ich odbywały się w intelektualnych pieczarach naśladowujących wielkopański sznyt. Pisarz skarykutował je powołując do życia kulturalną stajnię prowadzoną przez panią Verudin, snobkę o sztampowych przekonaniach, pretensjonalną, zarozumiałą, prymitywną, próżną mitomanekę przeświadczoną o nieocenionych walorach swojego groteskowego gustu.

Pani Verudin, manieryczna obłudnica pogardzająca arystokracją na początku powieściowego cyklu, jest w ostatnim jego tomie – księżną de Guermantes, księżną wybrakowaną, z przeceny i odrzutu, problematycznej kategorii, lecz księżną opisaną w „Almanachu Gotajskim”.

Jako że jej kulturalna melina salonowa w niczym nie mogła rywalizować z tradycyjnymi kuźniami ele-

ganckiego smaku, starała się obrzucać błotem wszystko to, co było poza jej umysłowym zasięgiem. Co było dla niej niedostępne i z tego powodu budzące odrazę. Nie była to wszakże odraza szczerza i uzasadniona prawdziwym oburzeniem, ale – upozowana, fałszywa i zrjonalizowana. Pełniąca rolę rekompensaty za własną ignorancję.

Ludzie należący do jej „cechu” (nazywanego przez nią – „paczką”), byli specjalnie dobierani; musieli dysponować uległym jej, plastycznym charakterem; charakterem kurka na dachu.

Żwawy pomyślunek, dobrze naoliwiony mózg, były to zalety spoza ich kręgu. Mocno podejrzone, bo względne i niewymieralne, gdyż w jaki sposób mogła ocenić ich wartość? Jak, nie posiadając umysłowego oprzyrządowania, mogła stwierdzić, czy używający rozumu oddają jej cześć, czy z niej drwią?

Dlatego, na wszelki wypadek, wołała otaczać się ludźmi o ażurowym umyśle.

*

Marcel umartwia się z rezultatem; jego „katedra” zostaje zauważona, doceniona i owocuje do dziś. Przyjaciół nie ma. Początkowo nie zrywa koniecznych mu więzi. Pracuje wśród ludzi poruszających się w rzeczywistości; zbiera, kompletuje materiały wyjściowe do „katedry”, a porównanie tego, co w nim jeszcze jest, z tym, co już stało się dla nich przeszłością, zdumiewa go.

Uczy się ich od nowa; nadal są podobni do siebie sprzed lat, a jednak ich podobieństwo nie jest już tak zupełne; poszarpani przez czas, należą do „żywych umarłych”, a w ich twarzach, siwych włosach i przygarbionych sylwetkach, obserwuje własne przeistoczenia i choć stara się ich nie dostrzegać, z każdą chwilą są coraz większe.

Ludzie, jak spłowiałe fotografie i meble po rodzicach, zawierają w sobie co rusz to nowe odczucia. Ludzie, z którymi utrzymuje nieożywione kontakty, należą do „znajomych doraźnych”, szachowych figur, chwilowo potrzebnych, sympatycznych do czasu, do momentu ich całkowitego rozgryzienia: dokąd mu na ich poznaniu zależy, dopóki są ciekawi, dowcipni, nadają się do snucia rozważań, potwierdzają bądź zaprzeczają jego powieściowym teoriom.

Starczy mu wniknąć w jedną, by uruchomiła kolejne, równie ważne i pobudzające myśl. Spotyka się z nimi, robi, co w jego mocy, by nawiązać z nimi serdeczny kontakt, a gdy wyciągnie z nich to, na czym mu zależy, przestają go interesować, ponieważ są już ukończonymi elementami „katedry” (jak mówi o swojej książce), „istotami zrodzonymi z przeszłości” (Czas Odnaleziony PIW 1979, str. 829). Odchodzą na plan dalszy – niebyły, archiwalny i zielnikowy; zrywa z nimi, ponieważ stanowili dla niego tworzywo: materiał do konstruowania postaci.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

OWSIANKO, dodano 25.01.2022 08:55

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.